

# Bajki

# Märchen

Pan Twardowski



# Pan Twardowski

Ze zbioru bajek naszego polskiego sąsiada,  
opowiedziane przez Wolfganga von Polentz

Przed wieloma laty, w jednej z wytwornych kamienic krakowskiego starego miasta z widokiem na sukienice, mieszkał wytworny szlachcic z rodu Twardowskich. Był niebywale wykształconym człowiekiem, studiował na wielu europejskich uniwersytetach a nawet odwiedził ojca świętego w Rzymie. Jego pęd do wiedzy był nie do zaspokojenia. Im więcej wiedział, tym więcej chciał się dowiedzieć. Im więcej dostrzegał, tym więcej chciał doznawać. Także wszelkie przyjemności życia nie były mu obojętne. Pan Twardowski był serdeczny dla każdego, miał szeroki gest w gospodzie, szczerze obdarowywał żebrzące dzieci i utrzymywał dwóch fryzjerów. Nic więc dziwnego, że był bardzo lubiany.

Niestety, majątek nawet tak zasobnego dobroczyńcy nie jest nieograniczony. Strapiony pan Twardowski zaglądał z końcem każdego miesiąca do swojej szkatuły, w której zapas nagromadzonego bogactwa coraz bardziej się kurczył. Nie trwało zbyt długo a ukazało się dno szkatuły. Musiał coś wymyślić, aby zapobiec zbliżającemu się nieprzyjemnemu końcowi. Przecież nie na próżno tak długo i pilnie studiował.

Nie trapiąc się i nie tracąc wigoru żył dalej w dostatku jak dotychczas, dzieląc się z innymi swoim dobytkiem. Jednak nie zapominał przy tym swoich studiów, bowiem był wielce przekonany o tym, iż na świecie jest nieskończenie wiele rzeczy, o których jeszcze nie wiedział.

Pewnego wieczoru, podczas szperania w starych rękopisach będących własnością jego przodków, napotkał na zapis, w którym podano jak skutecznie można zaprzysiąc diabła. Niektóre archaiczne i nieczytelne zapisy, były dla niego niezrozumiałe. Jednak z pomocą przywiezionych z Rzymu łacińskich pandektów i dzięki znanej z upartości jego naukowej duszy, udało się zrymować brakujące elementy w jednolitą całość. Postanowił zatem odważyć się i wywołać diabła w całej jego postaci.

Następnego dnia kupił na rynku najpotrzebniejsze instrumenty i składniki, po czym udał się na wzgórze Wawelu, aby w samo południe w cieniu katedry poszukać ziół diabelskiego korzenia. Bowiem tylko o tej

porze i tylko w tym miejscu zebrane zioła, miały posiadać moc niezbędną do przywołania diabła. W domu wzięt duży zwój pergaminu i skrupulatnie, małutkimi literami, przeniósł nań czyściutko stare formuły i rysunki. Dzieło udało mu się doskonale i było tak dobre, że pozwolił sobie dołączyć do tekstu swoją ulubioną maksymę:

**Semper fiat dictum cacatum non est pictum. mp PT**

Co tłumacząc na język polski nic innego nie oznacza jak to, że malowidło doskonale wykonane własnymi ekskrementami nie musi być koniecznie dziełem sztuki. Tak, tak, nasz z jednej strony uczony, a z drugiej jednak prosty szlachcic wiedział jak się należy wystawiać. A że był próżny, napisał jeszcze własną ręką „mp”, dołączając swoje inicjały, bo pan Twardowski odziedziczył po swoim ojcu, oprócz innych dobrodziejstw, piękne imię Piotr.

Na wieży kościoła Mariackiego wybiła północ. Błado do pokoju zagląda księżyc w pełni. Wraz z dwunastym wybiciem wskazówek zegara Twardowski zapala lampę naftową. Z tym samym olejem, z którym poskromiciel diabła przed trzema dniami zapalił wieczne światło przed obrazem apostoła Piotra. Dzisiaj przed zapadnięciem zmroku wzięt potrzebna mu miarkę. Napełnił i schował również buteleczkę wody święconej. Teraz rozpuszcza w nim korzeń diabelski, dodaje trzy krople alkoholu oraz kuleczkę rtęci.

Z fiolki, którą trzyma nad płomieniem unosi się śmierdząca para. Do czorta, gdzie podział się cyrkiel, którym musi zatoczyć krąg wokół siebie! Odważny uczeń czarnoksiężnika pospiesznie maluje na ziemi starosłowiańskie i greckie formuły nie zapominając w razie porażki o pentagramie. Potrzebny jest panu Twardowskiemu zręczny i niestrudzony asystent. Z długiej listy wybrał jednego, o którego ziemskiej gotowości spisane były w zwojach starych pism na Śląsku i Galicji wiarygodne wieści. I tak woła w godzinę duchów:

Belzebubie, synu piekła,

Pokaż że się teraz, zaraz!

Będziesz mi służyć teraz, a ja tobie później.

Czarny charakterze, cudotwórco

z pokrzywioną kosią nogą,

Belzebubie, zjaw się, zjaw się!



Za pierwszym wezwaniem jego imienia w oddali na firmamencie rozbłysło się. A przy słowach obietnicy „a ja tobie później” w kominie uderzył grom z jasnego nieba. Przy ponownym rozkazie „zjaw się” zabłysnął w kominie płomień, z którego wywołany wyłonił się w komnacie w eleganckim ukłonie.

Jednakże jego wizerunek nie odpowiada opisom starych ksiąg, bo przybysz wygląda raczej na nowoczesnego komiwojażera. Ubrany w długą gołąbkową sukmanę, której baskina tak zakrywa ogon, że nie sposób go zauważyć. Nogi osłonięte długimi kozakami zgrabnie ukrywają szpotawę. Na głowie figlarny kapelusik z kurzym piórkiem wznosi się leciutko po obu stronach, gdzie jak wiadomo sterczą kozie rogi.

Ze zwycięskim uśmiechem i wyciągnięta ręką diabeł wita pana Twardowskiego. „Bądź pozdrowiony czcigodny Panie! Nazywam się Belzebub. Cóż mogę dla Pana uczynić?”

Pan Twardowski przerażony własną śmiałością drży na całym ciele. Jednak ciekawość i duma z własnej sztuki wywoływania diabła szybko zwyciężają.

„Ty masz mi wiernie służyć i spełnić każde moje życzenie, nawet takie, które wykracza poza wszelką fantazję. Możesz to uczynić, czy twoja sława jest niczym innym jak czystą przechwałką?”

„W rzeczy samej nasz fach sławi się tym, że natychmiast możemy spełnić to, czego dusza zapagnie. Na to daję moje słowo. Jeśli chcesz skorzystać z moich usług, to niezbędny jest tu traktat podpisany własną krwią.”

I tu sprytny diabeł z wprawą wyciąga z górnej kieszeni gotowy już dokument. Pan Twardowski studiuje zapis uważnie, wielokrotnie kiwając głową i przy końcu negocjacji żąda dwóch małych zmian.

„Zapewne zgodzisz się ze mną, że trzy lata służby nie są wystarczające. Przede mną tysiące przygód, których chciałbym doznać. Trzy lata mi nie wystarczą. Po pierwsze, dodaj jeszcze jeden roczek a po drugie, z czystego sentymentu chcę, aby rozwiązanie umowy nastąpiło w Rzymie. Bowiem wieczne miasto budzi we mnie uczucia, które aż do dzisiaj wzruszają moje serce.”

W mig trójkę przerobił na czwórkę i starannie naskrobanymi literami dopisał do traktatu: „Po upływie terminu duszę moją w Rzymie przekażę.”

Po czym wywoływacz diabła, zanim zaskoczona bestia mogła zareagować, przekuł palec piórem i własną krwią podpisał: mp PT.

I tak zaczął się wspaniały i ekscytujący czas dla uczonego poszukiwacza przygód, a dla służącego biesa od świtu do zmroku ciężka praca. Na całym świecie żadna akademia nie byłaby w stanie wymyślić takich pomysłów, jakie przyszły do głowy naszemu ciekawemu świata odkrywcy. Czego za dnia nie wymyślił, to przyśniło mu się w nocy.



Pomysłów miał co niemiara, od nurkowania w kraterze lawą bulgoczącej Etny, spacerów z Sandomierza do Tarnobrzegu po dnie rzeki Wisły, lotu na chmurze ponad Puszcza Białowieską, nocnej wizyty w bogatej komnacie rosyjskiego cara i gilgotania go po nosie, nagłego wezwania osobistego lekarza, który miał pomóc pomysłodawcy paradować na kogucie przez jarmark w Opolu, sprowadzenia pruskich zbójników do walki we mgłę i na grzędzawiskach pod Kunowicami, którzy ostatecznie dali drapaka, po wynalezienia sławnej złotówki, która się samoistnie w kieszeni złodzieja rozpuszczała, zaś u szlachetnego człowieka pomnażała. Cudom, o których opowiadano nie było końca.

Twardowskiemu nie brakowało fantazji, nakazał Psią Górę pod Zakopanem postawić na głowie, aby lepiej można było zbadać, co się w jej środku ukrywa. Ponieważ był już znużony ciągłym stękaniami bogaczy, postanowił sprawdzić, jak rzeczywiście zasobny, a na ile potrzebujący jest jego kraj. W tym celu rozkazał, aby wszelkie srebra i złota z całej Polski wysypać w dwóch stertach na placu zamkowym w Warszawie. Sekretarze, wojewodowie, notariusze i lichwiarze musieli do białego rana policzyć i dokładnie zapisać zbiory, aby przed pierwszym pianiem koguta oddać wszystkie dobra właścicielom. Zaowocowało to pozytywnym skutkiem, bowiem przez następnych pięć lat w polskich kwestiach podatkowych zapanowało więcej sprawiedliwości.

Gdy na zaślubiny królewskiego bratanka zawitał na dworze na pomalowanym papierowym koniu trakeńskim i przed wszystkimi gośćmi zagonił gromadę kuropatw do tańca krakowiaka, musiano ufundować nowy order, aby go uhonorować. Bowiem stwierdzono, że wszystkie inne możliwe odznaczenia już dawno otrzymał i nosił przypięte dumnie na odświętnym ubraniu.

Na przygodach, zabawie a czasem dobrych uczynkach szybko przeminęły lata ustalone w traktacie. Punktualnie o północy, w dniu upływu terminu zgodnego z umową, pojawił się przed swoim panem przepracowany Belzebub domagając się swojej wypłaty.

„Cóż pracowity Belzebubie, również i ty musisz się trzymać wszystkich ustaleń umowy. Przeczytaj raz jeszcze, gdzie twoja część ma zostać przekazana. Czy tutaj jest Rzym? Póki co, nie zamierzam podróżować do świętego miasta.”

Rozzłoszczony diabeł, który chciał w dzień triumfu zrobić wrażenie pojawiając się w całej swojej okazałości, musiał niestety zacisnąć zęby, podwinąć ogon i dalej służyć swojemu panu. Gdyż tak brzmiał traktat. I tak z dni

zrobiły się tygodnie a z tygodni miesiące i wkrótce już cały kolejny rok wypełniony był dla pana Twardowskiego hulankami i przyjemnościami a dla oszukanego Belzebuba gorzką pańszczyzną. Pewnej nocy wali mocno w bramy dworku, w którym podczas swojej podróży po wschodniej Polsce, po pełnym dniu przeżyć, odpoczywał pan Twardowski. Właśnie śnił o kolejnym odważnym czynie, jakby to ciężkie sumy z rzeki Bug mogły służyć wojewodzie, jako muzykanci i kamerdynerzy.

Obudzono więc pana. Przed zdziwionym Twardowskim pojawił się siwobrody dorożkarz pilnie błagając o pomoc, gdyż w sąsiedniej wiosce jego pan leży śmiertelnie chory. W nagłej potrzebie go wysłał, aby o pomoc wielkiego dobroczyńcę kraju polskiego poprosić z nadzieją, że tylko on jedyny uzdrowić go może. Aby zaspokoić swoją reputację, szlachcic natychmiast wyskoczył z łoża. Od razu pojechał ze starcem do chorego pana, podróżującego kupca.

W obskurnym wiejskim zajazdzie leży biedak w skromnym łożu. Pan Twardowski, chcąc zbadać, pochyla się nad chorym. Ten na to otworzył jedno oko i usta przekrzywił w szyderym grymasie. Otworzył usta i z językiem węża szepcze tymi słowami do dobroczyńcy:

„Mam cię wreszcie, spryciarzu! Zobacz, gdzie jesteś!” A ten, który przed nim leży to sam Belzebub, najwidoczniej wcale niecierpiący, lecz radosny ze swego zwycięstwa.

Pobladły pan Twardowski ustępuje. Jego wzrok pada na zardzewiały szyld zajazdu. Czyta: „Zajazd pod wiecznym Rzymem”. A więc nadszedł czas spłaty długu.

Od rozgardiaszu, w kącie gospody obudziło się w kołysce czteromiesięczne niemowlę i protestuje przeciw hałasom. Zanim jego matka mogła uspokoić swojego maluszka, swojego Olka, swojego słodkiego Olusia, przegrany podbiega do dziecka i bierze krzyczącego na ręce. Dziwne, dziecina od razu zaprzestała płaczu i łapie łapczywie rączkami za dumną brodę uczonego.

Teraz może się nasza zdolna bestia po raz kolejny zaśmiać. Bowiem wie, iż żaden duch piekielny nie może ruszyć maleńkiego dziecka, ponieważ jest ono bezgrzeszne. Dopóki będzie trzymał dziecko w ręku, zostanie nietykalny. I jak razem opuszczą gospodę, to nie będzie już więcej „w Rzymie”, a zatem traktat nie starci na mocy. Następnym razem lepiej będzie uważać.

Pan Twardowski szykuje się do wyjścia. Za sobą słyszy słowa oburzonego diabła o wodzeniu za nos. „Fuj krucyfiks, subtelnym szlachcicem jesteś, panie łamaczu słowa, klejnocie szlachecki! Ukrywasz się za pupą



niemowlęcia! Oszukujesz mnie na zaprzysiężonym miejscu! Gdzie twój honor, czy umowa nic dla ciebie nie znaczy, czy jest tutaj Rzym „Panie Nic Nie Widzisz”, jeśli tak, to Polska będzie wkrótce zgubiona i słusznie!”

Splunął trzy razy na ziemię, aż się dziury w drewnianej podłodze wypaliły.

Tymi słowami dotknął pana Twardowskiego do żywego. Wiele można by o nim powiedzieć, jednak honor szlachecki miał dla niego wartość i znaczenie. Słowo szlachcica nie może budzić żadnych wątpliwości, bo dokąd by to nas zaprowadziło? Niestety, tym razem postaniec piekieł miał rację. Żegnaj, piękny świecie! Twardowski zawraca, ostrożnie oddaje dziecię na ręce matki a sam zmierza do swojego wierzyciela. Diabeł capnął go za poły sukmany i wraz z nim ucieka przez komin. Wszak postaniec piekła musi opuścić ziemię w ten sam sposób, w jaki na nią przybył, gdy po raz pierwszy nawiedził duszę swojej ofiary.

Zobacz, lecą tam do nieba. Wraz z nimi wzniosła się gromada wron i towarzyszy im w drodze na zachód. Wkrótce pojawia się znajomy obraz rodzinnego miasta. Jak sielankowo widnieją w świetle latarni krakowskie ulice! Przyjaźnie tulą się do siebie kamienice na starym mieście i oprócz kilku opóźnionych hulaków, nikogo nie ma na ulicach. Awanturowania na górze nie słychać, jedynie z daleka dochodzi do ucha bicie dzwonów z dzwonnicy Kościoła Mariackiego. Tęsknota ogarnęła serce Twardowskiego. Obudziły się w nim wszystkie wspomnienia, zaczął cichutko podśpiewywać piosenkę, której nauczyła go matka i którą często śpiewali idąc do, bądź wracając z Kościoła Mariackiego:

Mała kukułko, lecisz do kraju,  
chcesz wznieść się do raj.

Niebo, jeszcze nieznanne,  
będzie w locie twoim.

Kukuk, kukuk, powiedz mi szybko,  
Ile lat będę żył?

Mały Piotruś, idzie do kraju,



niosą go nóżki do gaju.

Lasy i pola, jeszcze nieznane,

uda się do nich na polowanie.

Piotrusiu, Piotrusiu, ach proszę,

zabierz ze sobą swoją małą kukulkę!

W daleki piękny świat,

za którym tęskni nasze życie.

Gdzie w ludziach i zwierzętach

To samo dążenie.

Serce, serce bij mocno,

tak, aby jeden drugiemu zaufa!



Piosenka z przedszkola wzrusza pana Twardowskiego tak bardzo, że po jego rzęsach zaczynają spływać łzy, w dół do ukochanego rodzinnego miasta, gdzie spadają jak delikatny letni deszcz. Nagle jego dusza oddaliła się tak bardzo, że w stanie nieważkości uniosła się do wyższych sfer. W te części nieba, dokąd nie można dolecieć i wrony zawracają parami do swoich ziemskich gniazd.

Dalej i dalej wznoszą się we dwoje. Diabeł nadal trzyma pana Twardowskiego za kołnierz. Teraz Kościół Mariacki stał się już malutkim punkcikiem. Jednak w pamięci chłopca wyłoniła się jego wspaniała wieża, widziana oczami dziecka. W tym momencie Belzebub wreszcie uwalnia swoją ofiarę i powraca do piekła. Pan Twardowski wzleciał tak wysoko, że aż dotarł na księżyc.

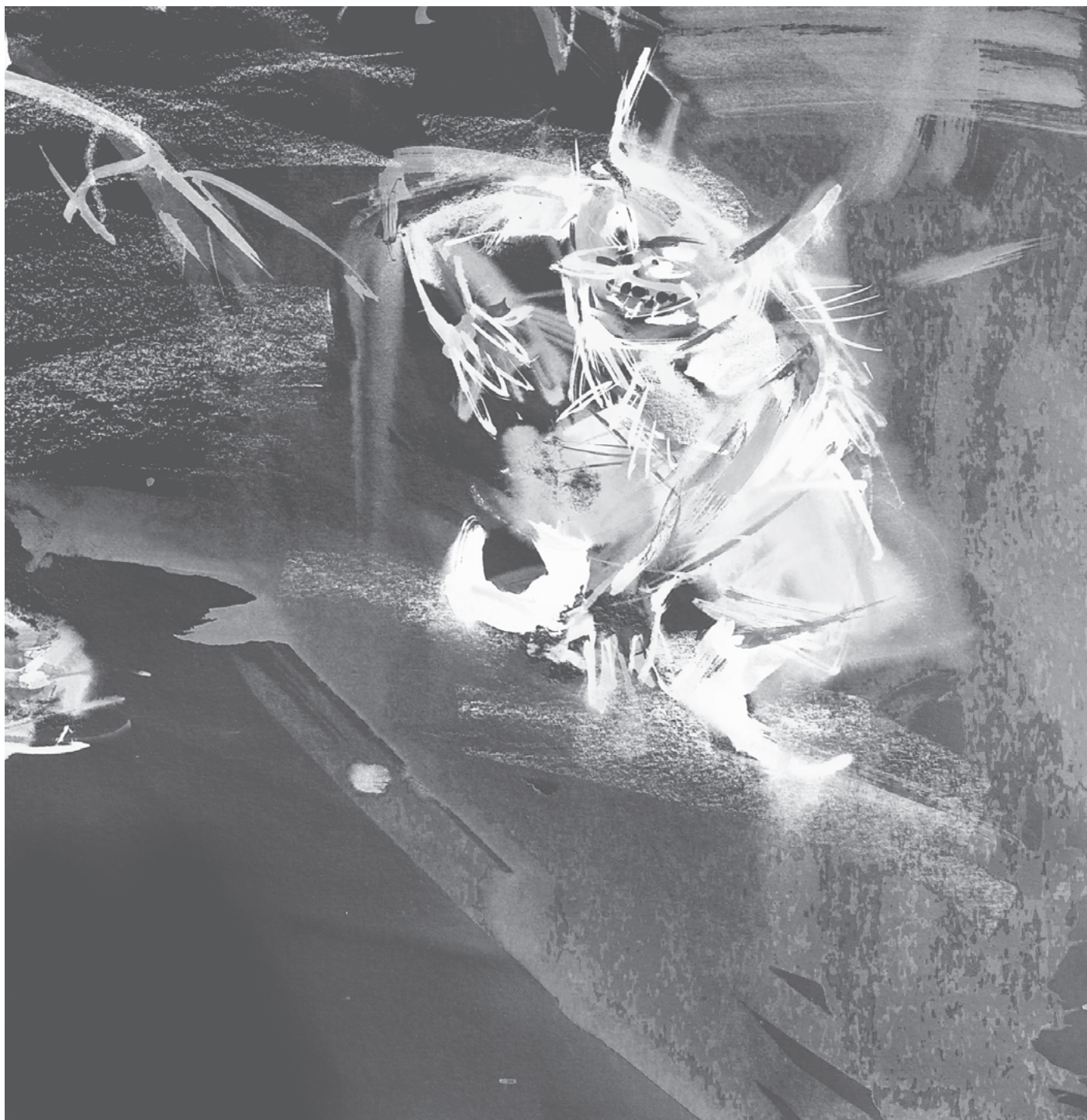
Mógłby się tak dalej wznosić i szybować w kosmosie, jednak gdzieś powinien by się ostatecznie zatrzymać. Złapał się więc mocno za rozek księżycy, po czym się na niego wspiął.

Tam mieszka do dzisiaj, a wielu obserwatorów gwiazd, którzy długimi lunetami badają nieskończoność niebios, opowiada, że czasem go widzą, jak nadal, zgodnie ze swoim zwyczajem, korzysta z uciech świata.

Inni zaś powiadają, sam nie wiem, czy można im wierzyć, iż pan Twardowski podczas jasnych nocy schodzi po świetlnym promieniu księżycy na ziemię, aby pospacerować po starym mieście Krakowa i sprawdzi, czy wszystko jest na swoim miejscu.







# Pan Twardowski

Eine Sage unserer polnischen Nachbarn,  
erzählt von Wolfgang von Polentz

Vor vielen Jahren lebte in einem der prächtigen Mietshäuser am Krakauer Altmarkt mit Blick auf die Tuchhallen ein feiner Edelmann aus dem Geschlechte derer von Twardowski. Er war ein äußerst gebildeter Herr, hatte an mehreren europäischen Universitäten studiert und sogar den Heiligen Vater in Rom besucht. Sein Wissensdurst war unstillbar. Je mehr er wusste, desto mehr wollte er erfahren. Je mehr er gesehen hatte, desto mehr wollte er erleben. Doch auch den Genüssen des Leibes war er durchaus zugetan. Dabei war Pan Twardowski freundlich gegen jedermann, ließ sich im Gasthaus nicht lumpen, gab Kindern und Bettlern reichlich, und allein drei Schneider und zwei Friseure lebten von ihm. Verständlich, dass er beliebt war.

Leider ist auch das Vermögen eines solchen Wohltäters der Bürgerschaft nicht unbegrenzt. Unfroh sah Pan Twardowski am Monatsende in seine Schatulle, wo der Vorrat an Reichtümern weiter zusammengeschmolzen war. Nicht mehr lange, und er konnte den Boden sehen. Es musste ihm etwas einfallen, das absehbar missliche Ende abzuwenden. Wozu hatte er sonst soviel studiert?

Dennoch ließ er sich nicht die Petersilie verhaseln, lebte wie gewohnt zu aller Wohle und brachte sein Geld unter die Leute. Er vergaß aber auch nicht seine Studien. Denn es gab, davon war er überzeugt, noch unendlich viel in der Welt, was er nicht wusste.

Eines Abends stieß er beim Stöbern in alten Handschriften aus dem Besitze der Vorfahren auf einen Bericht, wie der Teufel zuverlässig zu beschwören sei. Manche der Wendungen waren so altertümlich und verschollen, dass sie ihm unverständlich blieben. Aber mit Hilfe der aus Rom mitgebrachten lateinischen Pandekten und seiner gerühmten Beharrlichkeit reimte sich der

forschende Geist das Fehlende zusammen, so dass er wohl den Versuch wagen wollte, den Leibhaftigen herbeizutieren.

Am anderen Tage kaufte er auf dem Markt die meisten der benötigten Gerätschaften und Ingredienzen und ging dann hinauf zum Wawel, um in der Mittagsstunde im Schatten der Kathedrale nach dem Kräutlein Teufelswurz zu suchen. Denn nur um diese Stunde und an diesem Orte gepflückt, sollte es seine beschwörende Kraft offenbaren. Wieder zu Hause, nahm er sich eine große Rolle Pergament und übertrug mit zierlicher Schrift fein säuberlich die alten Formeln und Zeichnungen. Dieses Werk gelang ihm so vorzüglich, dass er sich nicht enthalten konnte, von sich aus eine seiner Lieblingsmaximen hinzuzufügen:

**Semper fiat dictum cacatum non est pictum. mp PT**

Was, in unser liebes Polnisch gebracht, nichts anderes bedeuten sollte, als dass eine noch so fleißige Schmiererei mit den eigenen Exkrementen noch lange kein Gemälde hervorbringt. Ja, so gelehrt und volkstümlich zugleich wusste sich unser Edelmann auszudrücken. Und da er eitel war, hatte er „mp“, mit eigener Hand, noch seine Initialen hintangesetzt, denn Pan Twardowski hatte vom Vater neben allem anderen auch den schönen Vornamen Piotr geerbt.

Von der Marienkirche schlägt es Mitternacht. Bleich scheint der Vollmond ins Zimmer. Mit dem zwölften Schlag zündet Pan Twardowski ein Lämpchen an. Mit dessen Öl hatte der Teufelsbanner vor drei Tagen das ewige Licht vor dem Bild des Apostels Petrus aufgefüllt und es dann heute vor Anbruch der Dunkelheit wieder ausgetauscht. Auch ein Fläschchen Weihwasser hatte er in der Kirche vollaufen lassen und eingesteckt. Darin löst er jetzt den zerstampften Teufelswurz und tut drei Lot Weingeist und ebenso viele Kügelchen Quecksilber hinzu.

Aus der Phiole über der Flamme steigt stinkender Dampf. Verflixt, wo ist der Zirkel geblieben, mit dem er den Kreis um sich ziehen muss! Hastig malt der wagemutige Zauberlehrling altslawische und griechische Formeln auf den Boden und vergisst auch, für den Fall des Misslingens, den Drudenfuß nicht. Was Pan Twardowski braucht, ist ein geschickter und unermüdlicher Diener. Deshalb hat er sich aus der langen Teufelsliste einen ausgesucht, von dessen Erdenwallen in Schlesien und Galizien zuverlässige Nachricht in den alten Schriftrollen stand. Und so ruft er hinaus in die Geisterstunde:

Behemoth, du Sohn der Hölle,  
zeige dich nun auf der Stelle!  
Dienst du mir, dien ich dir später.  
Schwarzgeschwänzter Wundertäter  
mit dem krummen Ziegenbein,  
Behemoth, erschein, erschein!

Fernes Wetterleuchten durchzuckt bei der ersten Anrufung des Namens das Firmament. Bei dem Versprechen „Ich dien dir später“ schlägt aus klarem Himmel der Blitz in den Schornstein, und der abermalige Befehl „Erschein!“ lässt ein Feuer im Kamin auflodern, aus dem mit eleganter Verbeugung der Herbeigerufene ins Zimmer springt.

Freilich bietet er keineswegs das Bild, das die alte Urkunde zeichnet. Er gleicht eher einem modernen Handlungsreisenden. Gekleidet ist er in einen langen taubengrauen Gehrock, dessen Schöße wohl auch den obligaten Schwanz bedecken, denn man sieht absolut nichts von ihm. Die Beine stecken in Gamaschenstiefeln, die geschickt die kleine Behinderung des Klumpfußes verbergen. Und auf dem Kopf sitzt ein keckes Hütchen mit einer Hahnenfeder. Das beult sich leicht an beiden Seiten auf, wo, wie der Kenner weiß, die Bockshörner emporragen.

Mit gewinnendem Lächeln und ausgestreckter Hand tritt der Teufel auf Pan Twardowski zu. „Seid begrüßt, wohledler Herr! Mein Name ist Behemoth, was kann ich für Euch tun?“

Pan Twardowski ist vor der eigenen Kühnheit erschrocken und schlottert am ganzen Leib. Dennoch überwiegt die Neugier und der Stolz auf die eigene Kunst als Teufelsbändiger.

„Du sollst mir getreulich dienen und jedweden Wunsch erfüllen, der meiner Phantasie entspringt! Vermagst du das wirklich, oder ist dein Ruf nichts als Prahlerei?“

„In der Tat rühmt sich unsere Zunft, alles nur Vorstellbare wunschgetreu und auf der Stelle wahr zu machen. Dafür will ich in persona eintreten. Doch dingt Ihr mich, braucht es einen Vertrag, den Ihr mit eigenem Blut besiegelt.“

Der höllische Geschäftsmann zieht routiniert das bereits ausgefertigte Schriftstück aus der Brusttasche. Pan Twardowski studiert es sorgfältig, nickt mehrfach und hat am Ende, denn



Verhandeln muss sein, zwei kleine Änderungswünsche.

„Du stimmst mir gewiss zu, dass drei Jahre Dienst kurz bemessen sind. Mich locken tausend Abenteuer, dass ich sie bestehe. Die Frist wird nicht genügen. Ein Jahrlein mehr solltest du schon zulegen. Zum anderen aber will ich dir aus einer zärtlichen Erinnerung heraus dasjenige, was dir zukommt, in Rom aushändigen. Denn die ewige Stadt weckt Gefühle, die mir noch heute das Herz rühren.“

Und flugs hat er die Drei zur Vier geändert und mit feingestochenen Buchstaben hinzugesetzt: „Bei Vertragsende übergebe ich meine Seele in Rom.“

Worauf der Teufelsbanner, bevor der verdutzte Behemoth reagieren kann, sich die Feder in den Finger sticht und blutig wie bekannt unterzeichnet: mp PT.

Nun begann eine herrliche und aufregende Zeit für den gelehrten Abenteurer, für seinen Diener Behemoth aber schweißtreibende Arbeit vom Morgen bis in die Nacht. Keine Akademie der Welt wird ausklügeln, was ohn Unterlass der Vorstellungskraft des wissbegierigen Erfinders entsprang, und was sich sein Verstand nicht am Tage ausdachte, das fiel ihm nachts im Traume ein.

Ob er hinabtauchte in den Krater des lavaspeienden Ätna, auf dem Grunde der Wisła gegen den Strom von Sandomierz nach Tarnobrzeg spazierte, auf einer Wolke über den Urwald von Białowieża flog, ob er den russischen Zaren nachts in seinem Prunkbett besuchte und in der Nase kitzelte, bis der ergrimmt nach dem erschrockenen Leibarzt rief, ob er auf einem Hahn über den Jahrmarkt von Opole ritt, ob er die preußischen Landräuber in der Schlacht bei Kunowice in Nebel und Morast führte, dass sie am Ende das Hasenpanier ergriffen, ob er jenen berühmten Goldzłoty erfand, der sich in der Tasche eines Diebes von selbst auflöste, bei einem ehrlichen Mann aber verdoppelte – der Wunderdinge, die man von ihm berichtete, war kein Ende.

Er trieb es so weit, dass er die Hundefelsen bei Zakopane vom Fuß auf die Spitze stellte, um besser untersuchen zu können, was der Berg in seinem Inneren barg. Auch interessierte ihn sehr (denn er war des unablässigen Gejammers der Reichen müde), wie wohlhabend oder bedürftig das Land tatsächlich sei. Deshalb ließ er eines Nachts sämtliches Silber und Gold aus Polen auf



dem Schlossplatz in Warschau in zwei Haufen aufschütten, und alle Wojewodschaftsschreiber, Notare und Geldverleiher mussten es bis zum Morgen zählen und genau auflisten, bis es vor dem ersten Hahnenschrei den rechtmäßigen Eigentümern wieder ausgehändigt war. Danach herrschte für wenigstens fünf Jahre mehr Steuergerechtigkeit in Polen.

Als er zur Vermählung des Königsneffen auf einem auf Pappe gemalten Trakehner zu Hofe sprengte und vor der Festgesellschaft einen Schwarm Rebhühner dazu brachte, mitreißend den Krakowiak zu tanzen, musste ihm zu Ehren ein neuer Orden gestiftet werden, denn der König stellte überrascht fest, dass Pan Twardowski an seinem Galarock schon alle Orden des Landes trug.

So vergingen mit Abenteuern, Lustbarkeit und mancher guten Tat die im Vertrag ausbedungenen Jahre. Pünktlich um Mitternacht trat am Tage des Ablaufs der abgearbeitete Behemoth vor seinen Herrn und verlangte den Lohn.

„Nun, fleißiger Behemoth, auch du musst dich in allen Punkten an den Vertrag halten. Lies nach, wo dir dein Teil ausgehändigt wird. Ist hier Rom? Ich jedenfalls habe nicht die Absicht, in die heilige Stadt zu reisen.“

Der geprellte Teufel, der am Tage des Triumphs mehr Eindruck machen wollte und deshalb in seiner wahren Gestalt erschienen war, musste zähneknirschend den Schwanz einziehen und weiter zu Diensten sein. Denn so stand es im Text. Tag reihte sich an Tag, die Wochen wurden zu Monaten, und bald schon war ein weiteres Jahr für Pan Twardowski in Lust und Freuden, für den betrogenen Behemoth aber in bitterer Fron verstrichen.

Da, eines Nachts, schlägt es hart ans Tor des Herrenhauses, in dem Pan Twardowski von einem weiteren erlebnisreichen Tag auf seiner Reise durch Ostpolen ausruht. Eben sinnt er einem munteren Traume nach, wie die schweren Welse des Bug als Kammerdiener und Musikanten im Wojewodenschlosse dienen könnten.

Man weckt ihn. Vor dem Wundermann erscheint ein graubärtiger Kutscher. Händeringend fleht er, mit ins nächste Dorf zu kommen, wo sein Herr todkrank darniederliegt. In seiner Not habe er zu dem großen Wohltäter der polnischen Lande geschickt, denn allein von diesem erhoffe man sich noch Heilung. Gleich springt der Edelman aus dem Bett, seinem Rufe zu genügen.

Schnurstracks eilt er mit dem Alten zu dessen Herrn, einem reisenden Kaufmann.

In dem schäbigen Dorfgasthaus finden sie ihn auf kargem Lager. Pan Twardowski beugt sich über den Kranken und will ihn untersuchen. Da schlägt jener die Augen auf. Sein Mund verzieht sich zu höhnischem Grinsen. Er öffnet die Lippen, und mit den Worten zischelt dem Nothelfer eine gespaltene Schlangenzunge entgegen:

„Hab ich dich doch, Schlaukopf! Sieh dich um, wo du bist!“ Es ist Behemoth, der da vor ihm liegt, offenbar gar nicht leidend, sondern siegesfroh.

Erbleichend weicht Pan Twardowski zurück. Sein Blick fällt auf das verrußte Gasthauschild. Er liest: „Herberge zum Ewigen Rom“. Nun hieß es wohl die Zeche bezahlen.

Von dem Lärm ist in der Ecke der Gaststube ein vier Monate alter Säugling in seiner Wiege erwacht und meldet Protest gegen das laute Treiben. Bevor die Mutter ihren Malutki, ihren Olek, ihren süßen Olusch besänftigen kann, ist der eben noch Verlorene zur Stelle und hat den Schreihals auf dem Arm. Seltsam, der ist gleich ruhig und greift mit dem Händchen nach dem stolzen Schnurrbart des gelehrten Mannes.

Jetzt hat unser Tausendsassa gut lachen. Weiß er doch: Kein Höllengeist darf sich an einem so kleinen Kinde vergreifen, denn es ist sündelos. Solange er den Jungen auf dem Arm hält, bleibt auch er unantastbar. Und wenn sie zusammen aus dem Hause sind, nun, dann ist er nicht mehr „in Rom“. Der Vertrag gilt weiter. Ein zweites Mal wird er sich besser vorsehen.

Pan Twardowski wendet sich zum Gehen. Hinter sich hört er die Worte des wieder an der Nase Herumgeführten, der ihm voller Empörung nachruft: „Pfui Kruzifix, ein feiner Edelmann bist du, Pan Brichdeinwort, ein Kleinod der Schlachta! Versteckst dich hinter einem Kinderarsch! Betrügst mich am beeidigten Ort! Wo Ehre und Vertrag nichts mehr gelten, sei's hier in Rom, sei's in Kleinsiehstdunicht, da ist Polen bald verloren – und mit Recht!“

Und er spuckt dreimal aus, dass sich kleine qualmende Löcher in die Dielen brennen.

Pan Twardowski ist ins Mark getroffen. Vieles mochte man ihm nachsagen, doch die Schlachtitzenehre stand über allem. Das Wort eines Edelmannes durfte nicht bezweifelt werden, wo sollte das enden? Leider hatte diese Ausgeburt der Hölle Recht. Ade, schöne Welt!

Er kehrt um, legt behutsam das Kind in die Arme der Mutter und übereignet sich seinem Gläubiger. Der packt ihn beim Schlafittchen und saust mit ihm durch den Schornstein davon. Denn ein Sendbote der Hölle muss stets auf dem gleichen Weg die Erde wieder verlassen, auf dem er sich zum ersten Mal einer armen Seele genahat hat.

Sieh, da fliegen sie am Himmel hin. Mit ihnen ist eine Schar Krähen aufgestiegen und begleitet ihren Weg nach Westen. Nicht lange, und es zeigt sich unten das vertraute Bild der Heimatstadt. Wie friedlich liegen die Krakauer Straßen im Laternenlicht! Einträchtig schmiegen sich die Miets Häuser am Altmarkt aneinander, und außer ein paar verspäteten Zechern ist niemand mehr unterwegs. Ihr Krakeelen hört man hier oben nicht, nur der Glockenschlag der Marienkirche klingt von ferne ans Ohr. Sehr wehmütig wird es unserem Pan Twardowski ums Herz. Eine Erinnerung steigt in ihm auf, und leise summt er ein Lied, das ihn die Mutter gelehrt hatte und das sie beide oft sangen, wenn sie hin zur Marienkirche gingen oder von ihr kamen:

Kleiner Kuckuck, fliegst ins Land,  
willst ins Blaue steigen.  
Himmel, jetzt noch unbekannt,  
wird im Flug dein eigen.

Kuckuck, Kuckuck, sag mir bald,  
wieviel Jahre werd ich alt?

Kleiner Piotrusch, lauf ins Land,  
wie die Füße tragen.  
Wald und Feld, noch unbekannt,  
wirst du bald durchjagen.

Piotrusch, Piotrusch, ach ich bitt,  
nimm mich kleinen Kuckuck mit!



In die schöne weite Welt  
sehnt sich unser Leben.  
Mensch und Tieren zugesellt  
ist dasselbe Streben.

Herze, Herze, schlage laut,  
dass einer gern dem andern traut!

Das Lied aus Kindertagen rührt Pan Twardowski so sehr, dass ihm die Tränen heiß von den Wimpern rinnen, hinab zur geliebten Heimatstadt, wo sie als sanfter Sommerregen niedergehen. Die Seele wird ihm auf einmal so weit, dass sie sich schwerelos emporschwingt in immer höhere Gefilde.

In dem nie beflogenen Himmel bleiben die Krähen zurück, schwenken paarweise ab und kehren schließlich um zu ihren irdischen Nestern.

Immer weiter steigen sie zu zweit. Denn der Teufel hält Pan Twardowski immer noch am Kragen und muss wohl oder übel mit. Jetzt ist die Marienkirche nur noch als winziger Punkt zu ahnen. Doch im Gedächtnis des kleinen Jungen, der er wieder ist, ragt ihr Turm so herrlich empor, wie ihn nur die frischen Augen eines Kindes sehen. Da lässt Behemoth endlich ab von der Beute und stürzt zurück in seine Hölle.

Pan Twardowski war so hoch geflogen, dass er eben den Mond erreicht hatte. Es war zwar sehr erhebend, so durch das All zu schweben, aber irgendwo musste er schließlich bleiben. Er hielt sich also am spitzen Horn des Mondes fest und kletterte hinauf.

Dort wohnt er bis heute, und viele Himmelsbeobachter, die mit ihren Teleskopen die unendliche Ferne durchforschen, berichten davon, dass sie ihn manchmal sehen, wie er in aller Gemütlichkeit seinen lieb gewordenen Gewohnheiten nachgeht.

Andere wiederum, und ich weiß nicht, ob man ihnen glauben darf, wollen Pan Twardowski in hellen Nächten beobachtet haben, wie er sich an einem Mondstrahl zur Erde hinablässt, um in Kraków über den Altmarkt zu spazieren und nach dem Rechten zu sehen.



## Impressum

Berlin 2015

Pan Twardowski, ze zbioru bajek naszego polskiego sąsiada,  
opowiedziane przez Wolfganga von Polentz, dla dzieci od lat 8

Pan Twardowski, eine Sage unserer polnischen Nachbarn,  
erzählt von Wolfgang von Polentz, für Kinder ab 8 Jahren

Verfasser/opracowanie: Wolfgang von Polentz, Amalienpresse

Tłumaczenie/Übersetzung: Iwona von Polentz

Redakcja/Redaktion: agitPolska e.V.

Ilustracje/Illustrationen: Marcin Laszczak

Grafika/Graphik: Goliat

Publikacja online powstała w ramach projektu

„Polski warsztat bajkowy, część I – tłumaczenie i animacje językowe”.

Die Onlinepublikation wurde im Rahmen des Projekts

„Polnische Märchenwerkstatt Teil I – Übersetzen und spielerisches Vorlesen“ realisiert.

VERANSTALTER/ORGANIZATOR



FÖRDERUNG/WSPARCIE



Die Bundesregierung  
für Kultur und Medien



Ambasciata  
Rappresentanza Polacca  
in Berlino